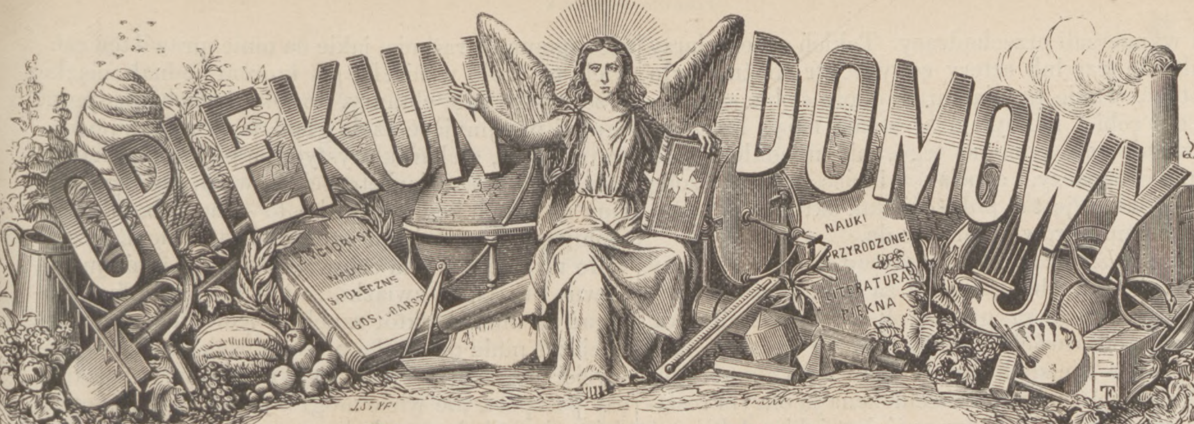


Warszawa dnia 26 Lipca 1865 roku.

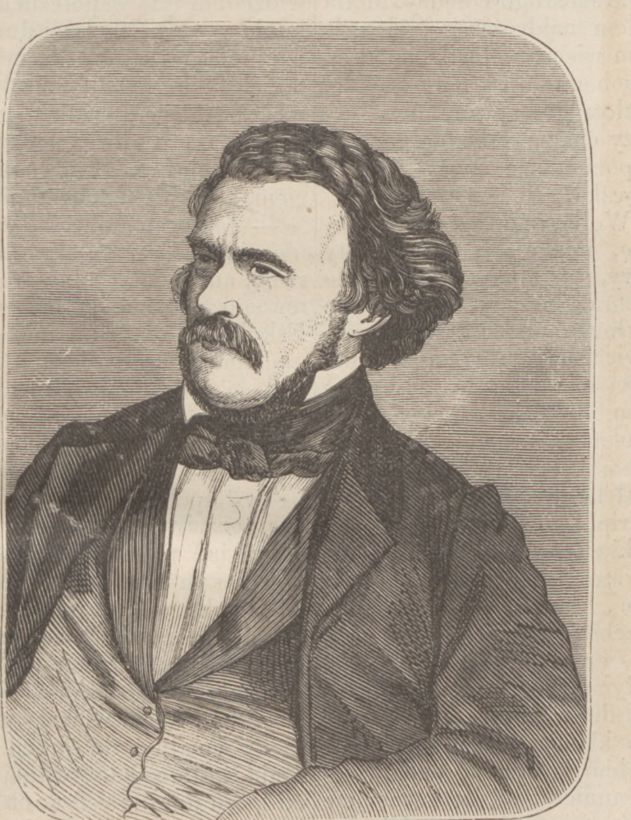
Nr 30. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

DOKTÓR TRIPPLIN.

(WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKÓW).

Warszawa, dzień 15 listopada 1856 [1]). Dawno nie pisałem, bo wypadki, jakie przeszedłem od 10 października, tak były okropne, tak zdaje się przechodzące wszelkie siły, że wyczerpały mię i z nóg zwaliły.

Kamienica, w której mieszkałem Nr. 2730 należy do żyda, ma długie wązkie podwórze idące pomiędzy szychty drzewa do saméj Wisły; podwórze to przez całą długość aż do brzegu rzeki, ma popostawiane jakieś kurniki pozbijane z desek, z rozebranych galarów nie bardzo szczelnie ze sobą spojonych, a w wielu miejscach powiercone świdrem dziury, które służą za wentylatory; letnią porą może to stanowić przyjemne cugi i z nich zawiania. Zimową porą jako tako poutykane, jednak, kiedy wiatr z zamiecią śniegu zaświszcze od Wisły i przeleci wszystkie te komórki, to bieda nieszczęśliwym, którzy tam muszą szukać schronienia; komin a tym bardziéj piec w żadnéj z takich klitek nigdy nie egzystował, a jednak wszystkie te stancyjki są napełnione, *w nich mieszkają same śmieciarki;* stosy też kości i rozmaitych gałganów leżą przy każdych drzwiach, i nieraz srogim przypatrzyć się można bójkom, jakie staczają pomiędzy sobą o kawałek gałgana, lub kość końską.



(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie K. Krzyżanowski).

W sieni głównego budynku, przez którą się przechodzi na podwórze, są po dwie z każdéj strony czeluście, któremi się wyciera sadze; tam to wieczór, kiedy się poschodziły moje sąsiadki, gotowały przy obdartéj korze z drzewa nad Wisłą, razem swoje śniadanie, obiad i kolacją. Dreszcz przejmuje pomyślawszy jaka to była strawa; jedna przyniosła w drewnianym kubełku resztki pomyj z garkuchni, po których pływały skorupy raków, wyglądały kości wołowe i wieprzowe ugarnirowane liśćmi kapusty, przewijało się coś podobnego do kaszy i Bóg wie jeszcze do czego; a jednak była to strawa, którą można było odegrzać i jeść ciepłą, zresztą, wiele zawierała w sobie części pożywnych; drugie kontentowały się główką śledzia i kawałkami spleśniałego chleba i nieodzowną kwaterką gorzałki; inne wygotowywały kości zebrane na śmietnikach i te jeszcze liczyły się do szczęśliwych, bo były takie, które powróciwszy z całodziennéj haczykowéj wyprawy, o głodzie spać się położyć musiały, jeżeli miały siłę zawlec się do swojego kącika. Tortury cierpiałem patrząc na tę nędzę moich bliźnich a powiększało je wrażenie zepsucia obyczajów, jakie pomiędzy niemi istnieje.

Tu płeć nie stanowiła żadnéj różnicy, a jeżeli która wieczorem przyniosła kilka groszy, to można było pójść o zakład, że za pół godziny, napotkasz ją w sieni, na zmarzniętéj ziemi, rozciągniętą, pijaną i nieczułą jak kloc na zimno i kułaki, jakie jéj obca-

[1]) Całe niniejsze zdarzenie jest rzeczywiste, osoby działające żyją.

sami wymierzali przechodzący. Takich egzemplarzy regularnie trzy lub cztery co wieczór można było napotkać. Takie to miałem na około siebie sąsiedztwa; cóż robić, nie byłem w stanie nająć lepszego mieszkania, ale pomimo tego, nie upadałem pod ciosami rozpaczy, chociaż widzieć głodną żonę i dwoje dzieci, jest to położenie tak okropne, że z żadnem innem porównać się nie da.

Dnia 18 listopada. Dziś wszyscy czworo mieliśmy za sześć groszy obiad, to jest: za cztery grosze kaszy jęczmiennéj, za grosz soli i za grosz drzewa, śniadania od dwóch tygodni już nie jadamy, całą noc prawie nie spaliśmy, bo nam było zimno. Córeczka kaszle suchym kaszlem, żona ją okryła resztkami swego ubrania, i syn mój jest jakiś słaby, ma gorączkę, dreszcze. *21 listopada.* Syn mój jest mocno słaby, w niedzielę niemiałem ani grosza, cały dzień nie wzięliśmy nic do ust, biedny chłopczyna tylko chodził skulony po stancji, a niechcąc płakać, żeby mi nie zrobić przykrości, odezwał się: „Prawda ojcze, ja się nie naprzykrzam, choć mi się jeść chce." Krew ścinała mi się w żyłach, przyciskałem go tylko do piersi, a on otarł mi łzę, co się wydobyła na lice, swą małą rączką i mówił: „Mój ojciec, mój biedny ojciec." Dzień był dość pogodny, chciał wyjść na dwór, nie broniłem mu, ażeby się troszkę rozerwał i zapomniał o głodzie.

O! takie męczarnie ten tylko pojmie, kto je przechodził, ale to nie była ostatnia srogość nędzy. Miała mię uderzyć w to co miałem najdroższego, zdrowie mego dziecka; wynalazłem wieczór chustkę od nosa, która niewiem jakim sposobem do téj pory ocalała, sprzedałem ją, wziąłem złoty groszy trzy, powróciłem do domu, przyniosłszy chleba, łakomie pożeraliśmy go i chłopczyna spory także spożył kawał, w nocy pokazała się gorączka.

Poszedłem do doktora Wolfa, opowiedziałem słabość, przepisał mi receptę, miała kosztować złoty groszy dwadzieścia cztery, a ja miałem jedenaście groszy w kassie; chodziłem dzień cały, niby myśląc o środkach ratunku, w głowie mi się kręciło i nieumiałem nic wymyśleć, w wieczór powróciłem do domu zrozpaczony, kolacją naszą stanowiła za trzy grosze herbata bez cukru i chleba, gorączka coraz większa, całą noc niezamrużyłem oka, świeca zagasła o dziesiątéj, po ciemku czuwałem nad chorym, okrywając go swoim paltem; kostniałem od zimna. Postanowiłem udać się do doktora Tripplina; była godzina siódma rano, ciemno jeszcze kiedy przyszedłem na Podwal, i wszedłszy na pierwsze piętro, zobaczyłem na mosiężnéj blasze nazwisko: „*Doktór Tripplin*," nazwisko człowieka, który przebiegłszy świat, wszędzie zostawił imię szlachetne, otoczone aureolą poezji, ofiary i poświęcenia; kiedy mi stanęło na myśli życie jego, zabrakło mi odwagi drzwi otworzyć, trzy razy drżący, kładłem rękę na klamce i trzy razy ją cofnąłem; ale kiedy pomyślałem, że tam dziecko, dziecko moje ukochane jest umierające, konwulsyjnie chwyciłem za dzwonek i pociągnąłem z całéj siły. Drzwi się otworzyły, wszedłem pomięszany do przedpokoju.

— Czy wstał pan już, czy już przyjmuje? zapytałem nieśmiało człowieka, który mi drzwi otworzył. Lokaj widząc moje pomięszanie, wahał się nie wiedząc co ma odpowiedzieć i czemu przypisać tak wczesną moją wizytę.

Gdy w tem drzwi od przyległego pokoju otworzyły się, i w ramach ich pokazał się sam doktór. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie sprawił ten człowiek; to czoło wzniosłe, po którem jednak ciężkie przesuwały się chmury, to oko szlachetne pełne ognia i przejmujące aż do głębi, ta twarz tak poważna, myśląca, a charakterystycznie piękna i przejmująca, ten wyraz szlachetności, odwagi, dobroci, rozlany na całem licu, wszystko to stanowiło tak harmonijną całość i takiem napawało zaufaniem, że zdawało mi się, że z tym człowiekiem łączą mnie już od dawna przyjazne związki, że mu mogę zaufać i polegać na nim. Doktór szybkim jednym rzutem oka obejrzał mnie do około, a jakkolwiek ubiór mój powycierany, ten pierwszy, jedyny, a może najgłupszy paszport, nie wiele mógł o mnie dobrego powiedzieć, i nie jednego źle by uprzedził na moją stronę, jednakże on, czy w rysach twarzy mojéj wyczytał coś dobrego, czy tylko powodowany grzecznością, uprzejmie wprowadził mnie do salonu, i zapytał czem może służyć.

Pomięszanie jednak moje, nie uszło jego uwagi; nie mogłem się zdobyć na prośbę, nikogom jeszcze w życiu nigdy o nic nie prosił, duma moja cierpiała okropnie, ale przyzwawszy na pomoc siłę woli, opowiedziałem mu, że mam pięcioletniego synka, bardzo chorego, i że go proszę, żeby mi raczył zapisać jakie lekarstwo, i nareszcie dodałem cały w ogniu, że nie jestem w stanie wynagrodzić go za to.

Doktór spojrzał tylko na mnie, ale w tym wzroku widziałem tyle współczucia, że nowa nadzieja zakołatała w mojéj zbolałéj duszy. „Pan nie jesteś w stanie mnie wynagrodzić, mówisz, to dobrze, właśnie takich lubię, mówił szlachetny doktór, lekarz tam właśnie dążyć powinien, gdzie skala cierpienia jest największa, a gdzież mogą być większe cierpienia, jak u biednych." Uścisnąłem mu rękę z współczuciem, i prosiłem żeby zapisał lekarstwo.

— Jakto pan chcesz, żebym zapisał lekarstwo, nie widząc chorego; chwała Bogu, nie jestem owczarzem, ani jezuitą, takie środki nie doprowadzają do niczego, są komedją nie godną szlachetnéj sztuki Eskulapa; doktór nie może być Bogiem, żeby odgadł przez jasno-widzenie chorobę, a tu gdzie idzie o życie podobnego mu człowieka, nie może poprzestać na opowiadaniu, choćby ojca tak przywiązanego jak pan. Zaraz się ubieram, proszę zostawić mi swój adres, za pół godziny będę u pana, tylko trzeba być spokojnym, nie trzeba rozpaczać, jest Bóg i są poczciwi ludzie na świecie. Nie miałem słów na wyrażenie mu wdzięczności, łza tylko, jaka mi zaświeciła na oku, była podzięką, wybiegłem, a jakby mi kto skrzydła przyprawił, pędziłem co sił na Browarną ulicę, a myśl, że może już zapóźno przybędę, że może już nie zastanę mego Bohdana przy życiu, jak zmora jaka ściskała mi serce. Mróz był dojmujący, nad Wisłą większy jeszcze jak w mieście. Zmęczony wpadłem do stancji. Łóżko jedyne jakie się znajdowało, zajmował mój nieszczęśliwy męczennik, od kilku dni już siedząc na krześle przy nim, (którego handlarze wcale kupić nie chcieli), przepędzałem noce. Niedługo turkot rozległ się na ulicy i przed kamienicą zatrzymała się dorożka; była to epoka w historji tego domostwa—bo przed nim zatrzymywał się tylko przynajmniéj raz w tydzień jednokonny karawan, aby wywieść na Powązki którą z moich sąsiadek. Wyjrzałem przez wybitą szybę i poznałem Tripplina; śpiesznie zbiegłem ze schodów i wprowadziłem do izby zacnego doktora. Była to ogromna stancja o dwóch oknach z wybitemi dwoma szy-

bami, zatkanemi papierem, od tygodnia nie paliło się na kominie, a na dworze 18 stopni mrozu. Żona siedziała okrywając resztkami mego szlafroka małą Bronisię, a biedna dziecina napróżno suchą pierś ciągnęła, drugi dzień nie było już w niéj pokarmu, nie było co sprzedać ani zastawić. Bohdan mój, pomimo gorączki, poznał mnie jednak, lekko ustami poruszył i rzekł.

— „Chcę pocałować ojca.” Serce mi pękało. Zbliżył się doktór, usiadł na łóżku i bacznie zaczął się weń wpatrywać; śledziłem każdy wyraz jego twarzy, ale on odgadł moje zamiary, twarz na któréj dotąd widziałem najwyższe współczucie, okryła się nagle maską obojętności, i pomimo mojéj najpilniejszéj uwagi i prawie jasno-widzenia, jakiem byłem obdarzony w téj chwili, nic wyczytać nie mogłem. Nareszcie po półgodzinnem milczeniu, powstał i mówił sam do siebie:

„Biedna chłopczyna, biedne dziecko, takie cierpienia na jego wiek... ale jeszcze jest nadzieja, wyrwiemy go śmierci, tak jest, wyrwiemy go śmierci.” Rzuciłem się jak szalony i konwulsyjnie ze łzami ściskałem jego rękę. Doktór zapisał receptę, kazał postawić 30 pijawek i obiecał, że jutro przyjdzie, żeby być spokojnym. Teraz dopiero zbladłem, lekarstwo, za cóż je kupię, pijawki trzeba było zapłacić najmniéj po złotemu, a ja nie miałem ani grosza. Doktór z pół godziny rozmawiał jeszcze ze mną i tak umiał wzbudzić swoją dobrocią moje zaufanie, że opowiedziałem mu historją mojéj przeszłości, im więcéj mówiłem, tem więcéj twarz szlachetnego męża rozjaśniała się.

Nareszcie, kiedy się już wybierał odjechać, włożywszy już futro, rzekł do mnie: „Czemu pan nie pracujesz? czemu opuszczasz ręce, masz święte obowiązki, powinieneś im zadość uczynić, dla czego straciłeś energią?”

Spojrzałem na niego zdziwiony i odpowiedziałem z goryczą, pracować mi pan każesz? a gdzież jest praca, daj mi ją, gdybym umiał drzewo rąbać, nie wstydziłbym się. Tak prawda, mówił sam do siebie, nie dla każdego jest praca i nie jeden przez to upada, że jéj nie umie znaleść; zamyślił się na chwilę. Miałbym prośbę do pana, czybyś się pan nie podjął przepisać mi przeszło 300 arkuszy rękopismu i ukończyć go za miesiąc od dziś. Zapłacę po złotemu od arkusza oto jest 50 rubli: ja wiem, że to jest niewiele, ale zrób to pan dla mnie, i nie czekając mojéj odpowiedzi, wetknął mi papierek długiego formatu, na którego czerwonem tle, 50 rs. było wyryte. Osłupiałem, niewiedziałem co odpowiedzieć, a on jakby mi nie pozwalając przyjść do siebie, mówił: tylko staraj się pan wyraźnie pisać dużemi literami, po południu przywiozę panu rękopism. Mówiąc to uścisnął mi rękę, i zaczem miałem mu czas podziękować, zbiegł ze schodów, a dorożka się potoczyła po bruku. Odtąd dwa razy dziennie regularnie przez trzy tygodnie, odwiedzał mego Bohdana, i dzięki jego staraniom i nauce, dziecko ukochane przyszło do zdrowia.

Niech ci cześć będzie szlachetny mężu, co w imię miłości chrześcijańskiéj, samotnie, skrycie roztaczasz tyle dobrego. Nikczemne głosy zawiści nie są w stanie zagłuszyć blasku cnót twoich, są serca co cię znają, są serca co cię cenić umieją. Czyliż czyn jeden podobny nie lepiéj przedstawia nam człowieka, jak niedołężne a zawistne recenzje.

Jan Kontrymowicz.

JAŁMUŻNA RACHELI.

Był wieczór zimowy, wiatr miotał kurzawę,
A księżyc twarz bladą skrył po za obłokiem,
Gdy z koszem na ręku przez ludną Warszawę,
Szła jakaś dziewczyna przyspieszonym krokiem.
Szła spiesznie i lekko, wymijając tłumy,
Niekiedy ku niebu podnosząc źrenice,
Błyszczące radością i wyrazem dumy,
Pomimo bladości co kryła jéj lice.
I nie dziw, że dumnie czarnem okiem strzela,
Że niknie lotem strzały po miasta przestrzeni,
Dziś ona sierota, uboga Rachela,
Swój pierwszy zarobek unosi w kieszeni.
Tak, ona uboga, samotna na świecie,
I swą dolę sierocą przenosi w pokorze,
I ręki żebrzącéj nie wyciąga przecie,
Lecz woli pracować jak umie, jak może.
I woli dni spędzać wśród chłodu i głodu,
Nie zrażać się burzą, ani lata skwarém,
Niż szatę nędzarki przywdziawszy za młodu,
Żyć ludzką litością, być drugim ciężarem.
Dość długo ubogi opłacając kątek,
Zbierała mozolnie grosz skąpy do grosza,
Aż wreszcie szczęśliwa na dobry początek,
Zdołała zań nabyć łakoci pół kosza.
I otóż dziś plonów swéj pracy używa,
Sprzedawszy korzystnie towaru zasobek,
Z radością nieznaną zebrała szczęśliwa,
Już całe dwa złote na dalszy zarobek.
Tak snując w swéj duszy rozkoszne marzenia,
Ják sarna leciuchna sunęła po śniegu,
Gdy nagle jęk bolu wśród nocy milczenia,
Przeniknął jéj duszę i wstrzymał ją w biegu.
Spojrzała zdumiona na lewo i w prawo,
I z bolem dostrzegła, że tuż obok drogi,
Zgnębiony chorobą i śnieżną kurzawą,
Stał drżący od zimna kaleka ubogi.
I zimnem skostniałe wyciągając dłonie,
Napróżno płaczliwie przyzywał pomocy,
Bo każdy omijał to puste ustronie,
Niemiłe w dzień biały, a straszne wśród nocy.
Tu nędza żebraka przeszyła Rachelę,
Bo sercem pojęła niedoli ciężary,
I rzekła: jam biedna, mam wprawdzie niewiele,
Lecz jednak szczęśliwsza, on chory i stary,
Podzielę z nim grosz mój, toż zdrowa i młoda,
Co dziś tu utracę, to jutro nagrodzę,
A kiedy Bóg dobry, pomocy mi doda,
Toć z głodu nie przyjdzie umierać niebodze.
Lecz on chrześcijanin, odmiennéj jest wiary,
Tak, ależ nieszczęsny, tak źle mu na ziemi,
I w Boskiém imieniu wymaga ofiary,
A przecież to jeden Bóg rządzi wszystkiemi.
I rada, że może nieść pomoc w ukryciu,
Z uśmiechem wesela odwróciła głowę,
I chętnie zarobku najpierwszego w życiu,
Na rękę nędzarza złożyła połowę.
Bóg tylko sam widział postępek Racheli,
A pokój wewnętrzny jéj duszę nagrodził;
Lecz wkrótce i ludzie z podziwem ujrzeli,
Jak dolę sierocą dostatek osłodził.
Lecz ona Najwyższą dłoń wielbiąc w ukryciu,
Źródło swego szczęścia poznała powoli,
Wspomniawszy, że pierwszy zarobek w swém życiu,
Złożyła dla Boga, przez ręce niedoli.
Bo każdy grosz własnéj ujęty potrzebie,
Złożony w ofierze dla cierpiących braci,

Bóg dłonią ojcowską odbiera sam w niebie,
I szczęściem żywota, stokrotnie zań płaci.

Emilja Leja.

CÓRKA RZEMIEŚLNIKA.

(POWIASTKA OBYCZAJOWA).

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 29).

VI.

„Skończyło się, lecz nie krwawo,
Nogi za pas, drapnął żwawo."

Pomimo, że wypadek kolacyjny mógł ośmieszyć pana Alfonsa w domu stolarzów, modny jednak młodzieniec, nie wyrzekł się téj miłéj znajomości i projektów na niéj usnutych. Trzeciego dnia po owéj historycznéj uczcie, jak zawsze wyświeżony i wonny, zjawił się Alfons w bawialni pani Maciejowéj, wielce uradowanéj temi wznowionemi odwiedzinami. Joasia, która przez całe trzy dni marzyła o wąsikach swego nowego konkurenta, przyjęła go milutkim i wielce obiecującym uśmiechem. O pana Macieja nie troszczono się wcale, a Petrowi pozwolono mruczeć wiele mu się podoba, przy zgrzycie pił i hebla. Pan Alfons odrazu wyrozumiał kobiety, a korzystając z każdéj słabéj strony, tak umiał poprowadzić swoje interesa, iż pozyskał zupełnie zaufanie pani Maciejowéj i Joasi. Zatrącanie o trzech tysiącach pensji, o wdziękach, wykształceniu córeczki, nareszcie mniejszéj lub większéj wartości prezenciki, zawsze zjednały dobry humor tłustéj majstrowéj. Tysiące pochwał dla pana Alfonsa, sypało się z jéj ust wymownych, a uwagi nad świetnością pozycji, utwierdzały jeszcze bardziéj Joasię w nadziejach. Tak minął miesiąc z górą, ku zadowoleniu mieszkańców znanego dworku na Tamce. Mówiemy „ku zadowoleniu," lecz słuszność wyznać nam każe, iż Peter wcale z tych odwiedzin nie był zadowolony. Coraz częściéj zamyślał się poczciwy chłopak, szorując heblem po desce, coraz więcéj bladł i czerwieniał na wzmiankę o panu Alfonsie, na żarciki kolegów o prędkim zamążpójściu panny Joanny. W takich chwilach zaciśnięte pięści świadczyły o wewnętrznéj burzy, a biada temu, ktoby się wówczas dostał pod jego ręce. Nareszcie, po długich wahaniach się, Peter powziął stanowczy acz śmiały zamiar, odsadzenia p. Alfonsa od zgrabnéj Joasi. Zamiar był arcy-prosty, jak się zaś powiódł zobaczymy niebawem. Aby jednak zrozumieć scenę, którą opisać pragniemy, poświęcić potrzeba kilka słów dworkowi na Tamce. Był to wzór dworków, które coraz bardziéj znikają z ulic naszego miasta, zastępowane przez okazalsze gmachy. Tylko Tamka i niektóre odleglejsze ulice, mogą się niemi poszczycić. Front zajęty był przez budyneczek drewniany, którego jeden róg zajmował sklepikarz, a w drugim mieścił się szynk, oba zakłady bardzo ważne dla okolicy. Przez sień długą, ciemną i zawsze prawie błotnistą, wchodziło się na podwórze niebrukowane, arenę pląsów i biegań dzieci całego domu. Niekiedy we dnie pogodne po południu, zbierała się cała żeńska ludność dworska, z robotką i dziećmi, a języki sąsiadek mełły w tedy zawzięcie, prześcigając hałaśliwością krzyki dzieci. Wieczorem, letnią porą zmieniała się scena, chłopacy bowiem od stolarza, od szewca i krawca, wybiegłszy na feierabend, wyprawiali tu harce, grając w piłkę, staczając rozczulające bitwy a la Rinaldo Rinaldyni, albo nakoniec zasiadłszy wieńcem na balach drzewa, opowiadali sobie z tysiąca i jednéj nocy powieści. Z drugiéj strony podwórza, stał podobny do frontowego ale więcéj koszlawy dworek z dachem wykrzywionym, gątowym, mchem zielonym grubo porosłym. Dworek ten zajmowali państwo Maciejostwo. Po za nim następowało drugie podwórze założone deskami i balami, a w trzecim budynku mieściły się warsztaty. Z boku opasany parkanikami, rozciągał się nie wielki ale miły ogródek, którego chłodne altanki, dawały nieraz już przytułek Joasi i panu Alfonsowi, wtenczas kiedy pani Maciejowa, zajęta była gospodarstwem, to jest gderaniem na pannę Annę i domowników. Z ogródka tego maleńka furtka w parkanie, prawie ukryta po za krzakami malin, prowadziła na boczną uliczkę.



Takie to miałem na około siebie sąsiedztwa. (str. 238, szp. 1.)
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Albert R.)

Znając tak miejscowość, przystąpmy do opisu zawiedzionéj zemsty Petra.

Było to w czerwcu, o godzinie dziewiątéj wieczór; powietrze lekkim nasycone balsamem, zdawało się pośredniczyć między niebem a ziemią. W ogródku u Joasi słowiczek ostatnie swe dośpiewywał pieśni, a pan Alfons od trzech godzin już bawił u państwa Maciejostwa. Chłopcy rzemieślniczy opowiadali sobie na podwórzu tajemniczą powieść o lampie Alladyna, a reszta mieszkańców frontowego dworku, zażywała słodkiego snu, lub zabawiała się kieliszkiem u Berka. Jeden tylko Peter, nie ciesząc się pięknością wieczoru, niespokojnym krokiem po raz setny przemierzał ciemną sień wchodową. W dłoni swéj dzierżył potężny kij, którym od czasu do czasu silnie uderzał w błotnistą podłogę sieni, mrucząc zajadle: „ot! tobie raz, dwa! ot eins! cwaj, draj!!"

Jak długoby trwało to stukanie kijem i groźne mruczenie pod nosem poczciwego Petra, trudno przewidzieć, gdyby nagle nie otworzyły się drzwi od mieszkania państwa Maciejostwa i pan Alfons po czułych pożegnaniach nie wyszedł nareszcie. Przemknął się on szybko przez podwórze i zagłębiał się już w sień wychodową, gdy nagle na swéj drodze spotkał Petra, który zaczajony jak kot, czekał na swą

ofiarę. Pan Alfons był z wielkim respektem dla grubych rąk czeladnika, i zawsze witał go i żegnał z wielką grzecznością, lubo Peter, nieuważał za stosowne wzajemnie mu się tąż samą monetą odpłacać. I tym razem pan Alfons, jakkolwiek zrażony widokiem i grubością kija, tudzież groźną postawą czeladnika, zapytał jednak rezolutnie:

— A dzień dobry! czyli raczéj dobry wieczór panu Petrowi.

— Dobry wieczór, odrzucił ten chmurnie z lekkim akcentem niemczyzny. Oh!

— Co tam słychać u pana Petra? indagował znowu pan Alfons, starając się obejść pozycyę przeciwnika.

— Bęzie tu saras slichacz! wrzasnął wtedy Peter, posuwając jednę rękę do kołnierza modnéj żakiety eleganta, a drugą dzierżąc kij i robiąc wybitny giest młyńca.

Raz wymierzony od serca, byłby bardzo nieprzyjemnie spotkał się z grzbietem pana Alfonsa, gdyby tenże, widząc się w tak krytycznem położeniu, niewysunął swych chudych rączek z rękawów żakiety, zostawiając takową w dłoni Petra... Sam zaś, jednym susem znalazł się na progu sieni, zatrzasnął drzwi i bardzo żwawo podążył ku zaludnionym cyrkułom Warszawy.

Peter otumaniony tak nagłem zniknięciem przeciwnika, z półgodziny jeszcze stał w groźnéj postawie, z podniesionym kijem w jednej ręce, a trzymając w drugiéj żakietę, jedyne trofeum niezaprzeczonego swego zwycięztwa.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Zbliżył się doktór.—(str. 239, szp. 1).—(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Zabłocki).

PRZEMYSŁ MAŁOMIASTECZKOWY.

3.

MURARZE Z ZAKLIKOWA.

Między prawym brzegiem Wisły a Sanem, leży okolica lesista, której część mieści się jeszcze w granicach królestwa. Już z Zawichosta czernią się te bory, a podróżny, dostawszy się tam, zdziwiony jest ich obszernością i wdziękiem naturalnym. Z razu droga, jak wszystkie drogi polskie, wije się to brzegiem lasu, to po mostkach, grobelkach, w głąb' puszczy zachodzi, aż nagle z piaszczystéj i wyboistéj przemienia się w gładką i wygodną szosę... któréj tu pewno nikt się nie spodziewał i nie oczekiwał. Wnet jednak wytłumaczy się zagadka, widnieją bowiem budynki i wysokie kominy fabryczne, gromadki domków schludnych i szykownych bieleją okolone lasem; to osada fabryczna Irena z walcownią żelaza należąca do Banku Polskiego. Daléj o kilka wiorst również szosą dojeżdżamy do miasta Zaklikowa. Las gęsty po bokach rzadzieje, tu i owdzie wychylają się dobrze uprawne polanki, a bliżéj jeszcze miasteczka starannie obrobione ogrody. Nie wiele wam powiemy o samem miasteczku Zaklikowie, bo powierzchownością nie różni się od małych miasteczek naszych: ma takiż sam rynek okolony domkami, kilka ulic i kościół na urwisku blisko strugi zbudowany. Ale domki wszystkie są czyste, biało wybielone z pomalowanemi okiennicami. Tu i owdzie widać za domami lub nawet i przed, maleńkie ogródki z których wygląda głowiasta kapusta, pękate dynie i żółte ogórki. Są to ślady porządku i zamożności, tem więcéj bijące w oczy, iż miasto dziwnym sposobem jest martwe: na rynku kilka bachurów żydowskich, jakaś fura z zadumanemi szkapami i oto wszystko. Mając kilka godzin czasu, poszedłem przyjrzeć się miasteczku... lecz wszędzie taż sama bezludność, a jeżeli gdzie można było ujrzeć kogo, to pracujące w ogrodach kobiety.

Zaciekawiony tą okolicznością, postanowiłem dojść przyczyny. Zbliżyłem się więc do jednego z tych ogródków i zaczepiłem schyloną na zagonie niewiastę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! odrzekła kobieta, nie odwracając się prawie.

— Szczęść Boże w pracy mateczko!

— Boże dopomóż! brzmiała odpowiedź.

— A to wam się tego roku ogórki obrodziły, rzekłem spoglądając na grzędy i pragnąc koniecznie zawiązać rozmowę.

— Będzie ich dość, rzekła nareszcie, podnosząc głowę ze zdziwieniem kobieta—zakwasi się beczka, a jak *mój* wróci, będzie co do chleba na śniadanie.

— A gdzież *wasz* jest? zapytałem skwapliwie, chwytając okoliczność rozjaśnienia zajmującéj mię zagadki. Kobieta, nim odpowiedziała, spojrzała uważniéj na mnie.

— Pan widno nie tutejszy?

— A tak matko, jestem z Warszawy.

— To pewno *mój* albo w Lublinie, albo w Warszawie—bo to widzi pan jest on murarzem i wędruje po kraju.

— I puszcza się do Warszawy?

— A ino, bo tak robią wszyscy.

— Jakto, bo tu wszyscy są murarzami?

— A wszyscy katolicy, bo żydzi handlują tylko.

— Lecz jakże, jeżeli mężczyzni was opuszczą na całą wiosnę, lato i część jesieni, to jest na czas trwania robót murarskich, to jakże się same kobiety utrzymać zdołają. Czy mężowie zostawiają wam pieniądze na wyżycie.

— Zapewne, proszę pana, przynoszą oni zawsze do domu nieco grosiwa, i jest za co opłacić czynsze, żyć zimą i sprawić sobie przyodziewek. Bogu dzięki nie cierpimy niedostatku, i znajdzie się jaki rubel w potrzebie... ale murarka nie wystarczyłaby na to...

— A jakżeż sobie radzicie?

— At uprawiamy pole, ogrody, chowamy trochę drobiu, świnie, za które na jarmarku dobrze teraz płacą i tak jak możemy utrzymujemy się...

— Ale któż koło tego pola, ogrodu i bydła robi, kiedy niema mężów?

— A my proszę pana z czeladzią. Zresztą nie mamy tego pola tak dużo, abyśmy się przeciążyły.

— Lecz czyż nie lepiéjby wam było iść za mężami i żyć z gotowego?

— Oj co nie to nie; nieraz bo dałaby nam się bieda we znaki, a któréj tu wcale nie znamy. Dawniéj jednak byliśmy wszyscy nędzni, i domki nasze dziś czyste i schludne waliły się opuszczone. Nie mieliśmy ani pól ani ogrodów, a chociaż nie pracowaliśmy tak jak dzisiaj, to los nasz był godzien litości. Latem chodziliśmy na żniwa albo do plenia, ale to praca jeszcze cięższa, i zawsze markotno człeku, że nie na swojem. Dziś jednak jest lepiéj...

— I jakżeście przyszli do gruntów?

— A jak w Irenie bank założył walcownię i lasy koło miasteczka zaczęto wycinać, tak my też wydzierżawili sobie po parę morgów pustek i wykarczowawszy takowe powoli zaczęliśmy obsiewać. Przybieraliśmy zaś gruntu w miarę wzrostu naszéj zamożności.

— A ogrody?

— Ot na ogrody było placu dosyć, ale co prawda dawniéj nie znaliśmy się na tem. Ale jak do Ireny zaczęto zakupywać jarzyny to i my poczęli je hodować coraz pilniéj — a dziś to już większą częścią dla własnéj wygody... Ale oto, rzekła kobieta, patrząc w ulicę, powraca już i bydło z pastwiska, trzeba się zająć udojem.

— A niesprzedalibyście mi nieco mleka? rzekłem chcąc obejrzeć wnętrze domostwa.

— Najchętniéj mogę niem pana poczęstować, odpowiedziała kobieta otwierając zastawę podwórza dwom graniatym krówkom. Wszedłem też i ja, a po chwili drzwi domku uchyliły się i przestąpiliśmy progi. Było tu czysto, schludnie, tak jak na zamożnych rzemieślników przystało. Lecz co mnie najwięcéj uderzyło, to leżące na stole kilka książek, a obok nich siedzący dziesięcioletni chłopak. Wprawiał się w pisanie i kreślił wyrazy wcale kształtnie. Dziecko nie przestraszyło się wcale, nie uciekło jak to bywa w miasteczkach innych, ale skłoniwszy się patrzało śmiało na przybyłego.

— Chodzisz mój malutki do szkoły? rzekłem zaznajamiając się.

— Tak, proszę pana.

— A czegóż wy się uczycie?

— Naprzód czytać i religji, potem pisać, rachować, tudzież mamy opowiadania o różnych rzeczach.

— A któż was tego uczy?

— Mamy szkółkę założoną dla nas i dla dzieci fabrykantów.

Na to weszła matka z mlekiem.

— Widzę, że każecie uczyć waszego syna.

— A tak, proszę pana, mąż jak powróci z roboty do domu, to zawsze mówi, że na świecie człowiekowi potrzebna jest nauka. A w fachu murarskim więcéj jak tym co pracują przy roli. Zdolny czeladnik jak umie coś, może się prędzéj na majstra wykierować i do jakiejś zamożności przyjść, a Boga też w kościele pochwalić.

Wypiwszy mleko i podziękowawszy, wyszedłem zadowolony — bom widział obraz rozsądku, pracy i zamożności. Teraz zrozumiałem, dla czego tu takie pustki i mężczyzn nie widać na rynku. Wszyscy są gdzieś zdala zajęci rzemiosłem, które dla mieszkańców miast koniecznym jest warunkiem bytu i pomyślności. Lecz pomyślność ta nie byłaby pełną, gdyby im nie przyszła w pomoc praca kobiet, wraz z czeladzią obrabiających nie wielkie pole i ogród. Tak jedno drugie uzupełnia i rodzi tę harmonję, która jest podstawą cichego szczęścia, przeznaczonego dla tych co są prości i mają skromne żądania.

Adam Wiślicki.

ROZNOSICIELE ŻYWNOŚCI W LONDYNIE.

Stolica Anglji, wielkie miasto Londyn, pod wielu względami dostarcza ciekawych materjałów do uwag, a mnóstwo istniejących tam urządzeń godnych jest naśladowania. Na teraz weźmiemy jednę gałęź przemysłu, którą stanowi roznoszenie żywności surowéj po mieście. Ułatwia to niezmiernie z jednéj strony nabywanie potrzebnych przedmiotów, mianowicie dla ludzi niezamożnych, pracujących, a zatem nie mających możności trzymania służby lub udawania się na targ, dla zakupna żywności. Z drugiéj korzystnem jest dla kupców, gdyż zapewnia zbyt w większéj ilości, bo roznosiciel dotrze do każdéj najodleglejszéj części miasta. Nic dziwnego więc, iż w Londynie znajduje się 50,000 roznosicieli głównie żywności. Są niemi po większéj części kobiety i dzieci, a tylko, jeżeli ciężary znaczne, przenoszą je dorośli mężczyzni, lub przewożą psami, osłami, i nareszcie końmi.

Nie ma zdaje się przedmiotu do życia, którymby roznosiciele nie handlowali; jak zaś obszernym jest ten targ, nauczy kilka następujących liczb: Do Anglji wprowadzają 100 miljonów sztuk pomarańcz rocznie a z tych 17 do 18 to jest $\frac{1}{6}$ część przechodzi przez ręce londyńskich roznosicieli. Wielkich orzechów kokosowych 153 miljony sztuk sprzedają, mięsiste ich jądro pokrajane w talarki, ceny $\frac{1}{2}$ pensa (6 groszy) chciwie jest jako łakotka jedzona przez lud i dzieci. Innych przysmaków sprzedają: brazylijskich orzechów 3,000 miarek, hiszpańskich 24,000 m., kasztanów słodkich pieczonych 6,500 m., rodzynków 37,000, fig 25,000, migdałów 7,000 funtów i t. d. Handel łakociami w każdem mieście bogatem i ludnem jest ważny i korzystny dla sprzedających. U nas, prócz niesmacznych obwarzanków starych ciastek i owoców, przez ile możności najniechludniejsze żydówki noszonych, nie ma nic do kupienia u roznosicieli.

Ważniejsze są jeszcze obroty Londyńskich roznosicieli, co do saméj żywności. Według własnego ich uznania, podanego do Altermana Londynu, dwie trzecie całego zbytu w mieście, przechodzi przez ich ręce. Roznoszą oni śledzie (40 miljonów sztuk), sztokwisz (40,000,000 sztuk) oraz inne ryby (60 mil. sztuk ogółem); raki morskie, ostrygi, drób dziki (samych kuropatw 200,000 sztuk) i swojski (600,000 kur, 200,000 gęsi, 100,000 kaczek, 30,000 kur indyjskich) i t. d. Jarzyny w niezmiernéj massie: 15 mil. funtów kartofli, 24 mil. główek rzepy i t. d.

Na tem wszystkiem ubodzy roznosiciele mają

swój procencik, który wystarcza im na utrzymanie wygodnego życia, bo umieją oni z wszelką zabiegliwością pracować. Prawdziwą to jest przyjemnością widzieć tych ludzi, jak kompanjami przebiegają miasto, drapią się na wysokie piętra lub u drzwi pozastawiają zamówione zapasy. A tak są punktualni, iż każda gospodyni może być najpewniejszą, iż potrzeby jéj kuchni o naznaczonym czasie zaspokojone będą. Roznosiciel, zostawiwszy zapas zamówiony w torebce u drzwi, dzwoni i idzie daléj, bo niema czasu zatrzymywać się; wieczorem zaś lub też jednego dnia w tygodniu, przychodzi odebrać pieniądze. Oszczędza to niemało czasu i czyni niepotrzebnem trzymanie służby dla ubogich, ale skrzętnych gospodyń rzemieślniczych. Dla tego też życzyćby należało, aby i u nas zajęto się uorganizowaniem podobnéj służby roznosicielnéj, do czego nawet niepotrzeba wielkiego kapitału, ale tylko dobréj woli i staranności, a interes opłaciłby się sowicie.

SZTUCZNE DRZEWO.

Głównem zadaniem przemysłu w ostatnich czasach jest zużytkowanie licznych odpadków, otrzymywanych przy obrabianiu różnych materjałów. Co dziennie prawie czynione na téj drodze postępy naszych zatrudniają robotników. Od kilku lat nauczono się we Francji nadawać wiórom na nowo spójność, i przez to pozyskiwać nowy materjał do roboty. Wtym celu mięszają wióry, zwłaszcza z cieńszych gatunków drzewa ze krwią, poczem massa wkłada się do próżnych wewnątrz form i wystawia przy jednoczesnem ogrzaniu w hydraulicznéj prassie na wysokie ciśnienie. Massa przybiera dokładnie zarysy modelu i odbija najdelikatniejsze formy. Sztuczne drzewo jest bardzo twarde, cięższe aniżeli jakikolwiek gatunek drzewa naturalnego, mocne i daje się pięknie politurować. W powyższy sposób wyrabiają z niego ozdobne pudełka, przyrządy do pisania, i inne towary galanteryjne, nie mniéj jak misterne roboty stolarskie, szafki do zegarów, ramy do obrazów i t. p. Używają także téj massy, w zastępstwie drogiego materjału do drzewnéj rzeźby. Artykuły te znalazły nader pochlebne przyjęcie w Paryżu.

STRZEŻCIE SIĘ KWIATÓW.

Jakto? powiecie, mamyż strzedz się kwiatów, téj najpiękniejszéj ozdoby najpiękniejszéj pory roku; tych kwiatów, co tak barwnie stroją łąki, błonia i gaje nasze! Kwiatów, tak ponętnie przykraszających skroń i sploty dziewuch wiejskich, tak uroczo rozweselających ołtarze Świątyń Pańskich, tak skromnie wijących się u stóp krzyża Chrystusowego, taką świeżością napełniających, i zbytkowne komnaty miljonerów i ubożuchne izdebki pracujących w pocie czoła! Cóż mogą nam złego zrobić te piękne, wonne, skromne kwiateczki, jeśli nie rozweselać oczy nasze załzawione widokiem nędzy współbraci, jeżeli nie upoić nas miłym zapachem, choć na chwilę odgraniczającym nas znowu od brudów i nieczystości swojskich i nieswojskich. Ta barwa i ta woń kwiatów, łagodzą smutne dni naszego żywota, mówią do nas sympatycznym, szczerym, naturalnym językiem, że jak one po srogiéj zimie, piękną cieszą się wiosną, tak i dla nas po dniach zimna, burz i niepogody, przepyszne słonko radości, zajaśnieje także.

Wszystko to prawda, lecz i to prawda niestety, że kwiaty szkodzić nam mogą; a szkodzą swoim zapachem. Wraz z wydzieleniem zapachu, kwiaty wydzielają z siebie gaz, zawierający w sobie kwas węglony. Otóż ten kwas węglony, nagromadzony w wielkiéj ilości, zatruwa powietrze, a powietrze takie w czasie oddychania wciągnięte w płuca ludzkie, sprowadza często chorobę, a nie rzadko nawet i śmierć, zwykle tłumaczoną przez zaduszenie. Zazwyczaj takie przypadki choroby lub śmierci pochodzą z nocy. Przyczyna w tem, że w ciemności i podczas nocy, kwiaty najwięcéj zapachu wydzielają; izby zaś na noc, są mniéj więcéj szczelnie zamykane, zapach więc, niemogąc rozejść się w powietrzu, pozostaje w izbie, coraz bardziéj się zwiększa i zgęszcza, aż staje się niebezpiecznym dla osób, spoczywających w téj izbie. Osoby więc, rade mieć kwiaty u siebie na noc, powinny przynajmniéj nie zamykać szczelnie okien, aby pozostawić swobodny przewiew powietrza.

Nie wszystkie jednak kwiaty są niebezpieczne i niejednakowe skutki sprowadzają. Są kwiaty z zapachami nieprzyjemnemi, jak bielnie, szaléj, mak, i inne, nie są one zbyt niebezpieczne, sprowadzają tylko senność i ból głowy. Za to niebezpieczniejszemi o wiele więcéj, są kwiaty piękne, przez wszystkich ulubione i hodowane; zapach ich jest bardzo miły, upajający, ale za tę zdradliwą piękność barwy i piękność woni, trzeba czasem dobrze odpokutować. Do takich powabno-wonno-zjadliwych kwiatków, należą: lilak znany pod nazwą bzu lila, białego tureckiego i perskiego, fijołki zwyczajne i fijołki nocne, zwane także *wieczernikami smutnemi*, daléj tuberoza, lilja, tulipan, hyacynt, kwiat pomarańczowy, a wreszcie róża, owa róża królowa kwiatów i oblubienica wszystkich, czy to podobnych, czy nie podobnych do róży. Otóż zapach tych kwiatów, o wiele jest zgubniejszym, wywołuje osłabienie, mdłości, ból głowy, omdlenie, wymioty i jak już powiedziałem, sprowadza czasem śmierć, przez uduszenie. Może niejeden służący lub sługa, niewinnie przesiedzieli lata w więzieniu lub przynajmniéj plamę poślakowania ściągnęli na siebie, prost tylko przez nieostrożność zamiłowania kwiatów swych panów, i nie jedna matka, może, osierociła dziatki, upojona ponętną wonią kwiatu. Strzeżcie się więc kwiatów! Zostawcie im słońce, powietrze i swobodę; nie więźcie ich w swych klatkach murowanych i zamkniętych, bo naruszając naturę kwiecia, od Stwórcy mu udzieloną, psujecie harmonję świata całego i musicie koniecznie skutki z nieładu wynikłe, odczuć na sobie. Prawem niewzruszonem powinno być zawsze: oddaj każdemu, co mu się należy. Kwiatek chce ciepła, słońca, swobody; nie wzbraniaj więc, bo sprawiedliwość wszechświatem rządząca, a tak samo opiekująca się skromną trawką jak i pysznym cedrem, prędzéj lub późniéj dotknie cię, karcąc swą dłonią.

ROZMAITOŚCI.

— Namiętność, jak powiadają, jest matką wszelkiego złego. Niedawno we Francji, doktór pewien przez chciwość namiętną na pieniądze, otruł swą kochankę i żonę, i został za to ścięty. Teraz znowu w Normandji, także jeden doktór, pokochał namiętnie żonę swego przyjaciela. Sam będąc żonaty, nie mógł rozumie się ożenić powtórnie z zamężną znowu kobietą. Otruł więc swą żonę i męża swéj ko-

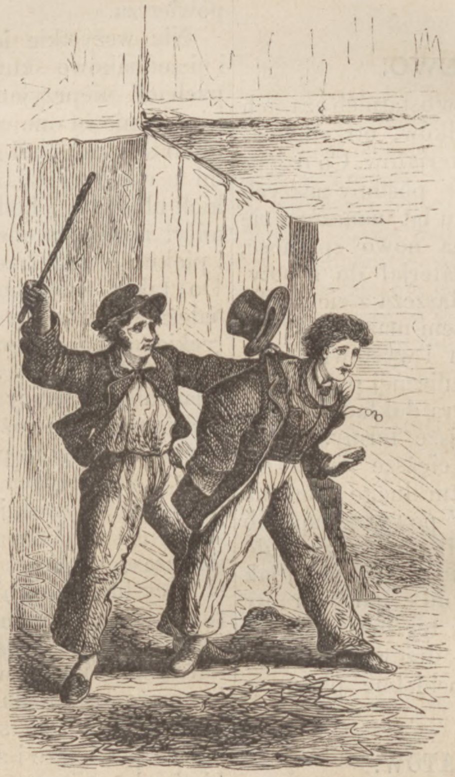
chanki naumyślnie, a niechcący sługę swéj żony i po potrójnem zabójstwie, ożenił się z pozostałą po otrutym przyjacielu wdową. Niewiadomo tylko, czy ona wiedziała o tych morderstwach. Dość, że pomiędzy publicznością, rozeszły się wieści o tych truciznach; władza sądowa wdała się w to natychmiast, uwięziła doktora wraz z małżonką, i kto wie czy owa namiętno-barbarzyńska miłość, nie poprowadzi ich, a przynajmniéj samego lekarza, na gilotynę.

— Podług przybliżonego rachunku, wydobyto *złota* od roku 1500 do 1848 mniéj więcéj 8,900,000 funtów na wartość 14,564 miljonów zlp. W ostatnich zaś piętnastu latach, to jest, od 1848 do 1864 przybyło złota 5,000,000 funtów wartujących zlp. 13,800 miljonów. Złoto to pochodzi po największéj części z Kalifornji i Australji, mianowicie Kalifornja po koniec r. 1863 dostarczyła 2,012,000 funtów w wartości 5,653 miljonów zlp. Australja zaś i nowa Zelandja, 1,701,700 funtów, czyli zlp. 4,677,980,000.

Srebra zaś od r. 1500 do 1848 miano wydobyć około 2,950 miljonów funtów, oszacowanych na 539,500 miljonów zlp., a przybytek ostatnich piętnastu lat wynosi 30 $^1/_2$ miljonów funtów czyli około 600 miljonów zlp. Produkcja srebra zresztą teraz znacznie wzrasta, tak że dziś produkcja srebra oceniona być może rocznie na 450 miljonów zlp.

— Główne rzeki gubernji Wileńskiéj są: *Niemen* i *Dzwina* wpadające do Baltyku; w poprzek gubernji płynie r. Wilja, która łączy się z główną rzeką komunikacyjną Niemnem, okalającą tylko granice gubernji. Każda z tych trzech rzek, stanowiących główne arterje, ma swoje boczne rzeki, łączące wewnętrzne miejscowości, z pogranicznemi rzekami spławnemi. Niemen, ciągnie się w gubernji Wileńskiéj 333 wiorst, szerokość jego wynosi od 35 do 75 sążni, głębokość zwykła 1 $^1/_2$, a na wiosnę dochodzi do 3 sążni.

Żegluga na Niemnie, rozpoczynająca się z wiosną, trwa do późnéj jesieni. Statki wszakże większych rozmiarów, obejmujące znaczne ładunki, przepływają tę rzekę tylko na wiosnę, do połowy maja, w którym to czasie wysokość wody zaczyna opadać. Cały kurs żeglugi na spławnéj części Niemna z biegiem wody, trwa dni 18, a pod wodę najwięcéj dwa miesiące.



Posuwając rękę do kołnierza modnéj żakiety. (s. 241, s. 1).
(Rysował Rudzki – wyciął na drzewie Szymborski).

Do żeglugi na Niemnie, używane są strugi, bajdaki, wiciny, barki, łodzie pruskie, tratwy i galary.

W ostatnich latach na Niemnie, zjawiły się parostatki, ale te dopływają tylko z Prus do Kowna, daléj zaś w górę nie ciągną z powodu kamieni podwodnych i mielizny, gdy tymczasem holowanie statków przyniosłoby ogromne korzyści, zmieniłoby dotychczasowy sposób ciągnienia statków w górę przez ludzi, którzy muszą je ciągnąć długiemi linami.

Boczne rzeki Niemnu w gubernji wileńskiéj są: z prawéj strony: *Wilja*, *Strawa*, *Wierzchnia*, *Mereczanka*, *Rotniczanka*, *Kotra*, *Turja*, *Świętnica*, *Deraźna*, *Liniczanka*, *Lebieda*, *Niemunak*, *Dzitwa*, *Narew*, *Hawja*, *Berezina*, *Ussa*, *Czarna* i *Suła*; z lewéj strony: *Szczara*, *Alowczadz*, *Pruderoka* i *Czernówka*.

Wilja płynie w powiécie Wilejskim, Oszmiańskim, Święcjańskim, Wileńskim i Trockim. Długość téj rzeki, któréj koryto jest bardzo kręte, wynosi około 420 wiorst, z których 300 przypada na gubernję Wileńską. Wilja spławną jest od miasta Szyłańca, aż do samego ujścia, na przestrzeni 388 wiorst. Szerokość téj rzeki, aż do miasta Wilejki, nie przechodzi 15 sążni, daléj dochodzi do 30, w Wilnie do 45, a niżéj szerokość Wilji w gubernji Wileńskiéj dochodzi do 70 sążni. Głębokość jéj koryta w mieście Wilnie, wynosi około 8 stóp. Żegluga Wilji bardzo jest utrudniona z powodu mnóstwa mielizn, zatorów, prądów i kamieni podwodnych. Wilja była oczyszczoną i urządzoną do spławu jeszcze w roku 1380. Następnie zgromadzenie kupców wileńskich, znowu ją oczyściło w r. 1586, a rząd wyczyścił ją na nowo w r. 1606. Podług kronik miejscowych, Wilja była spławną rzeką, którą Wileńczykowie spławiali towary do Gdańska. W następnych wiekach, Wilja w wielu miejscach zmieniła swoje koryto, zawalona została skałami i stała się zupełnie niespławną.

— W mieście Birmingham w Anglji istnieje fabryka, która trudni się wyrobem bożków dla Indji i Chin. I tak wyrabiają w niéj *Jamosa*, bożka śmierci, *Birondiego* bożka piekieł, *Baronnina* bożka słońca siedzącego na krokodylu; *Boberena* bożka bogactw i wiele innych. Wiadomo także, że Angielscy missjonarze najgorliwiéj rozszerzają między dzikiemi ludami, Pismo święte czyli Biblije. Anglicy więc jednocześnie zaopatrują ludy i w Świętą księgę Ewangelji i w ohydne pogan bożyszcza. Nic dziwnego, Anglja jest przedewszystkiem krajem zysku.

— Niezbyt dawno, jak nafta poznaną została, a już zastosowanie jéj do oświetlania prawie w całym cywilizowanym świecie nastąpiło. Mało tego, pokazało się, iż oléj skalny oprócz własności oświetlania, ma jeszcze własność leczenia, i to jednéj z najobrzydliwszych i niebezpiecznych chorób, mianowicie parchów. Choroba to zaraźliwa, dostać jéj można przez samo dotknięcie się zarażonego miejsca, a zgubić jedynie mocno gryzącemi środkami: jak siarką, wapnem, mydłem szarem, potażem, terpentyną i t. p. Otóż, teraz pewien doktór francuski przekonał się, że parchów najłatwiéj się pozbyć — naftą. Czy to u ludzi, czy u koni i bydła, leczy się jednakowo. Miejsce oparszone, smaruje się z lekkiem tylko wcieraniem naftą. Nazajutrz po nasmarowaniu, ludzie obmywają się w letniéj kąpieli mydlanéj, a u zwierząt miejsce nasmarowane obmywa się ciepłą wodą z mydłem — i parchy znikną do szczętu. U ludzi za pierwszem posmarowaniem niechybnie, a u zwierząt trzeba czasami smarowanie powtórzyć, zależy to od grubości skóry zwierzęcéj lub zbyt słabego nacierania.

— Kiedy Bóg pozwala, ażeby prawda zstąpiła na ziemię, ludzie zaczynają od przekleństw i ciskania kamieniami na tego, który ją przynosi, potem chwytają prawdę, któréj nie mogli z nim razem zabić; bo jest nieśmiertelna.

— Jest sympatja, jest powinowactwo pomiędzy człowiekiem i ziemią, z któréj został stworzony, z któréj powstał (ziemia rodzinna). Rozkoszą jest dla niego odnieść na swoje miejsce tę garść prochu, którą na kilka dni sobie pożyczył.

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 14 (26) Lipca 1865 r.